Poczta opłacona zgóry | Cena 25 groszy.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, J. Szerudy, K. Seriniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. prefekta Gloeha*—z Warszawy, *ks, G. Manitiusa* z Poznania, oraz członków Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: *p. p. mec. H. Eberhardta, mec. A. Burschego prof. gim. im. M. Reja, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta.* Pod naczelną redakcją I pastora Zboru Warszawskiego, *ks. radcy A. Lotha.*

Cena prenumeraty: wraz z przesyłką pocztową: 3 zł. kwartalnie

Pojedynczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI
WARSZAWA ulica Kredytowa Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje:
w Warszawie, księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10
w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 65
i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Prutka 27.

Wychodzi raz na tydzień w niedzielę

Ogłoszenia: Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy, w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok VIII. | WARSZAWA, dnia 4 września 1927 roku. | Nr. 36.

Wolność i autoretyt.

Aleć Pan jest tym Duchem, a gdzie jest ten Duch Pański, tam i wolność.

2 list do Koryntjan, rozd. 3 w. 17.

Wolność jest to słowo, posiadające moc poruszenia serca ludzkiego, aż do warstw jego najgłębszych.

Wolność jest to hasło, porywające nie tylko jednostki, lecz nawet tłumy do spełnienia czynów bohaterskich.

Wolność jest to idea, której najlepsi synowie składają w ofierze mienie i życie, spokój i szczęście. Wypisany na sztandarach wielkiej rewolucji francuskiej wyraz wolność stał się gwiazdą przewodnią wszystkich ruchów wyzwoleńczych w dziejach 19-go stulecia. Pod sztandarami wolności walczyli bojownicy swobód narodowych i społecznych, politycznych i ekonomicznych, moralnych i religijnych, zdawać by się mogło, że dążenie do wolności jest stałą tendencją serca ludzkości, z którą muszą się liczyć kierownicy wszystkich poczynań zbiorowych. Skoro znalazła swe urzeczywistnienie, chociażby nawet niedoskonałe w dziejach ludzkości, wolność stała się trwałym nabytkiem i nie może być podeptana. Jednak rozwój wypadków w ciągu ostatnich dziesięciu lat stwierdza, że Królowa, której składali hołd mężowie stanu i trybuni ludowi, prorocy nowych form bytowania i reformatorowie dotychczasowego układu życia, została strącona ze swego tronu i jako kopciuszek wiedzie żywot cichy w zakątkach niewidocznych duszy ludzkiej. Siła, posługująca się przemocą, zepchnęła wolność z piedestału na którym ją ustawili i z całą brutalną szczerością nazywają obecnie dążenia do wolności przesądem.

Radykalna zmiana w ocenie wolności jest nietylko wynikiem nowego układu sił społecznych, lecz została spowodowana przez zawód, sprawiony przez niedotrzymanie obietnic, przez nadużycia, popełnione w jej imieniu.

Wolność bowiem przerodziła się w swobodę, lekce sobie ważącą wszelkie normy społeczne i dążącą do zerwania więzów, utrzymujących życie zbiorowe w równowadze niezbędnej.

Anarchja, jako wynik źle zrozumianej i nadużywanej wolności, musiała zostać zmarnowana i w twardej szkole państwowego przymusu musi się społeczeństwo nauczyć korzystać ze swobód bez uszczerbku dla całości państwa i dobra narodu. Zbyt drogo opłacała Polska jej przerost, aby mogła sobie ponownie pozwolić na niebezpieczny eksperyment „złotej wolności". Instynkt samozachowawczy państwa i narodu poskramia wybujałe zachcianki i zmusza zwolenników do poszanowania istniejących praw pod groźbą utraty wolności.

Moc prawa wtedy straci cechy przymusu zewnętrznego, gdy swoboda zostanie szanowana przez nakaz sumienia i w duszy ludzkiej ustali się równowaga między dążeniem do wolności a podporządkowaniem się chętnem autorytetowi. Nie ten jest wolny, kto umie hańbić cudzą godność i deptać cudze prawa, lecz tylko ten jest godzien wolności, kto zna i szanuje jej granice, nakreślone przez dobro państwa, narodu i społeczeństwa. Na prawdziwej harmonji między wolnością jednostki a wolnością społeczeństwa opiera się życie prawdziwe i szczęście istotne.

Równowaga ta wtedy tylko będzie trwała i straci odrażające cechy przymusu, gdy wyrośnie z podłoża religijnego i ustali się na tle łączności z Bogiem. Prawdziwa bowiem wolność nie może istnieć bez wolności sumienia i niezwłocznie przerodzi się w swawolę, jeżeli Duch Boży nie wyciśnie na duszy ludzkiej swego piętna. Wolność przeistoczy się w niewolę najcięższą, bo duchową, jeżeli Duch Boży nie uskrzydli duszy i nie zjednoczy jej z prażródłem wszelkiej harmonji — z Bogiem, w Nim jest utwierdzona nasza wolność, lecz On jest zarazem naszym autorytetem najwyższym.

KAROL SERINI.

Z ŁODZI.

„Niemiłe" wspomnienia. Jednolita opinja. Dezerterzy ewangelicyzmu. Zbór polski. Katedra pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Budowa kościoła ewangelickiego św. Mateusza. Przeszkody. Ks. Dietrich. Romański styl i ewangelicki charakter kościoła. Witraże. Sala konfirmacyjna. Ofiarność. Dzwony.

Odgrywający rolę wybitną w dziedzinie gopodarstwa krajowego przemysł łódzki stworzony został rękami przybyszów — Niemców, w przeważającej liczbie ewangelików. Liczniejsze od ewangelickich kościoły katolickie w Łodzi oraz cały szereg fundacyj użyteczności publicznej zdołano powołać do życia przy znacznej na ten cel ofiarności przemysłowców wyznania ewangelickiego. Są to fakty powszechnie znane. Ale fakty tego rodzaju stały się z biegiem czasu dla wielu łodzian niemiłe. Nie zmieni przeszłości pokrywanie ich milczeniem. Istnieje przeto dążenie do stworzenia innej przyszłości, takiej, w której Łódź zatarłaby na swem obliczu wszelkie ślady niemczyzny i ewangelicyzmu. Jako czynniki kulturalne są one jednak zbyt głęboko zakorzenione na gruncie łódzkim, aby się dały łatwo wyrwać z ziemi, w którą wrosły, a którą przez systematyczną pracę pokoleń przemieniły w kwitnący warsztat pracy. Są też nadto żywotne, aby się dały łatwo i rychło zagłuszyć. Wywierany nacisk wywołuje odpór. Stąd pochodzi pewne naprężenie stosunków, niekiedy dosyć silne, noszące w pewnych momentach cechy walki. Nie brak ludzi, którzy dali się unieść prądowi płytkiego, wrzaskliwego szowinizmu, podtrzymywanego przez pewne organa prasy, a żerują na tem sprytni demagodzy, posłowie i inne pasożyty społeczne. W skrajnym obozie nacjonalistycznym polsko-katolickim, zarówno jak i w ugrupowaniu skrajnie niemieckiem, a w ogromnej swej większości pod względem wyznania — ewangelickiem, identyfikuje się stale polskość z katolicyzmem, niemieckość zaś — z ewangelicyzmem. Będącym w mniejszości ewangelikom Polakom trudno bywa niekiedy znaleźć właściwą drogę między Scyllą a Charybdą tych dwu biegunowo krańcowych a nawet wrogich placówek, wytwarzających tak przedziwnie jednolitą opinję! To też od czasu do czasu słyszy się o ewangelikach, którzy będąc Polakami nie mogli sobie poradzić w życiu na gruncie łódzkim z rozterką wewnętrzną i, ulegając wywieranej na nich presji, przeszli na katolicyzm. Wobec tak smutnych dla serca protestanckiego faktów miło jest zaznaczyć, że z roku na rok powiększa się w Łodzi grono uświadomionych ewangelików Polaków, którzy pragną służyć swemu krajowi i społeczeństwu nie przez ucieczkę w kierunku najmniejszego oporu duchowego i największych korzyści towarzyskich, lecz za pomocą walorów kulturalnych, jakie przedstawia z siebie ewangelicyzm. Organizując się, krzepną oni w swem uświadomieniu wyznaniowem, zmagając się z napotykanemi trudnościami. Niemało przeszkód musieli przełamać, zanim udało im się doprowadzić do tego, że niebawem już planowa ich akcja będzie uwieńczona przez powstanie samoistnego zboru polskiego.

Naprężenie stosunków narodowościowych i wyznaniowych ujawnia się na terenie łódzkim w pewnem współzawodnictwie, które m. i. dotyczy budowy ostatnich dwóch kościołów: katolickiego, pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, i ewangelickiego, noszącego nazwę św. Mateusza. Przy ul. Piotrkowskiej na dawnym placu Szpitalnym wznosi się pyszny, smukły kościół rzymsko-katolicki. Świątynia jeszcze nie jest zupełnie gotowa. Przechodniowi rzuca się w oczy brak wieży. Z powodu niedostatecznej wytrzymałości fundamentów musiano podobno zaniechać wykonania jej według planów pierwotnych. Wieża będzie przeto zbudowana z materjałów, dających mniejsze obciążenie. Na placu kościelnym leżą już mające służyć do tego wiązania żelazne. Przed upływem roku piękny gotyk będzie już zapewne zupełnie wykończony. Katolicy miejscowi czekają z niecierpliwością na tę chwilę, ten kościół bowiem posiada dla katolicyzmu łódzkiego szczególne znaczenie: podniesiony do godności katedry, przy której urzęduje pierwszy biskup nowokreowanej diecezji, znany na gruncie łódzkim działacz społeczny, ks. Tymieniecki, ma symbolizować potęgę kościoła rzymsko-katolickiego na terytorjum tego okręgu przemysłowego. Jednocześnie ma się ta piękna katedra przyczyniać do tego, aby — jak chcą nacjonaliści polscy — nadawać miastu wygląd ośrodka polskiego.

Wolniej znacznie posuwa się naprzód sprawa budowy kościoła św. Mateusza. Wybrano dlań miejsce przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Czerwonej, w pobliżu katedry katolickiej, więc punkt upatrzony szczęśliwie, zwłaszcza ze względu na to, że rozbudowa miasta rozwija się w tym właśnie kierunku. Poświęcenie kamienia węgielnego odbyło się dn. 8 października r. 1909, a więc przed 18 laty. Najpoważniejszą przeszkodę w robotach stanowiła wojna, która spowodowała zastój w przemyśle, ogólne zubożenie, wysiedlenie wielu parafjan do Rosji i t. d. Nadto trzeba zważyć, że układ stosunków łódzkich jest tego rodzaju, iż po stronie katolików jest bezwzględna przewaga liczebna wyznawców oraz siła, jaką daje sprężyste kierownictwo całego sztabu karnego duchowieństwa. U ewangelików przeważa wytrwałość, systematyczność i planowość akcji, lecz brak owego sztabu kierowniczego, brak zgody i jedności. Cała sprawa budowy kościoła św. Mateusza spoczywa obecnie wyłącznie na głowie jednego człowieka, a jest nim już od lat ks. Juljusz Dietrich, II pastor przy parafji św. Jana.

A przytem zaznaczyć należy z całym naciskiem, że ks. Dietrich buduje ten kośció nie uciekając isę do zbierania składek przymusowych, lecz przy pomocy dobrowolnych ofiar jedynie, przyczem sam jest głównym i jedynym prawie kwestarzem oraz organizatorem i inicjatorem imprez dochodowych, urządzanych na ten cel. Niejeden stargałby już swe siły na pracę odczytową i w stowarzyszeniach, jaką prowadzi ks. Dietrich. U tego wyjątkowego człowieka praca ta pochłania tylko część jego pracowitego dnia roboczego, który trwa znacznie dłużej niż powiększony dwukrotnie dozwolony prawem czas pracy wyrobnika. To też pomyślną dla sprawy budowy kościoła św. Mateusza okolicznością jest to, że władze, roztaczające opiekę społeczną nad pracą, nie interesują się ludźmi wolnych zawodów...

Kościół jest w stylu romańskim. Składają się nań dwie nawy, przecinające się pośrodku w ten sposób, że zarys fundamentów całej świątyni ma kształt krzyża. Wymiary obydwu naw są jednakowe, więc kościół nie jest—jak pospolicie— wydłużony. Przytem nawy posiadają znaczną szerokość. Przez to osiągnięto zmniejszenie odległości najbardziej oddalonego słuchacza od kazalnicy, co uwzględnia specyficzne przeznaczenie świątyni ewangelickiej, polegające—obok modlitwy— na słuchaniu głoszonego z ambony Słowa Bożego. Z tego względu kościół św. Mateusza będzie pierwszym na terenie dawnej Kongresówki, który w tej mierze uwzględnia wymagania akustyczne, wynikające z odrębności wyznaniowych protestantyzmu. Ponad naszemi głowami, nad skrzyżowaniem naw, wznosi się do góry olbrzymia kopuła, utrzymana w przepysznych linjach architektonicznych, ale ponad nią, nad wejściem głównem, góruje wieża, sięgająca 78 metrów, smukła, szpiczasta, o 28 metrów wyższa od wierzchołka krzyża na naszym kościele warszawskim. Przepiękną linją biegnie kamienna balustrada chórów bocznych, łącząca się w miły dla oka sposób z chórem, na którym będą się mieściły organy. Przed niemi przewidziano dosyć miejsca na pomieszczenie zespołów śpiewających.

Zwracają uwagę bogate okna witrażowe, wykonane w Poznaniu i Wrocławiu, i stanowiące trzy serje, przemyślnie powiązane między sobą pod względem treści. Dolna serja witrażów przedstawia Chrystusa Pana jako proroka; nad ołtarzem widzimy Go w roli arcykapłana; w górnej serji widnieje tenże Chrystus jako Król. Witraże są ofiarą osób pojedyńczych, rodzin, zrzeszeń i cechów, co zostało na nich upamiętnione.

Budowa kościoła dawała ludziom dobrej woli wiele sposobności do składania ofiar. Największą złożył ś. p. Edward Herbst z małżonką Matyldą z Scheiblerów, pokrywając całkowicie koszty budowy sali konfirmacyjnej, wykończonej jeszcze przed wojną. Jest to sala ogromna, w której już od kilkunastu lat odbywają się zebrania i nabożeństwa. Stanowi ona już sama gmach imponujących rozmiarów. Mieszczą się w jej murach, oprócz właściwej sali konfirmacyjnej, 4 inne sale, przeznaczone dla stowarzyszeń kościelnych, oraz przestronna zakrystja. Wobec olbrzymich — jak na nasze stosunki — rozmiarów kościoła, jest ona przy kościele przybudówką. Lecz w istocie rzeczy do niej został przybudowany większy od niej kościół.

Roboty budowlane posuwają się obecnie szparko naprzód. Tynki zewnętrzne są na ukończeniu. Posadzka będzie ułożona w roku bieżącym w całym kościele. W tym samym czasie mają być wykonane roboty malarskie i drzwi. Znaleźli się ofiarodawcy, którzy złożyli sumy na kazalnicę, ołtarz i chrzcielnicę. Na koszta organów i zegara wieżowego idzie osobna zbiórka ofiar, z których tworzy się fundusz specjalny. Obecny stan robót pozwala liczyć się z tem, że poświęcenie kościoła będzie mogło się odbyć w r. 1928.

Gdy zwiedzaliśmy kościół w ostatnich dniach czerwca, ks. Dietrich oprowadzał nas z całą gotowością po rozległym gmachu kościelnym i udzielał objaśnień, dotyczących różnych szczegółów. Oględziny kościoła skończyły się na wieży, nad której wyprawieniem zzewnątrz pracowali murarze. Minęliśmy ich na wysokości bodaj szóstego piętra, i pnąc się ciągle w górę po schodach dotarliśmy po długiej pielgrzymce do miejsca, gdzie blisko już stropu niebios wiszą dzwony kościelne. Jest ich 6, a imponują swoją wielkością. Pod największym mogłoby się pomieścić 30 osób! Są wyrobione ze stali, spreparowanej w sposób, stanowiący tajemnicę fachową zagranicznej fabryki. Melodyjny, silny dźwięk ich stanowi o ich wyższości w porównaniu z wyrobami przedwojennemi tego rodzaju. Każdy z tych dzwonów ma nazwę. Najmniejszy nazywa się „dzwonem modlitwy", następny — „dzwonem pokuty", trzeci zaś — to „dzwon Lutra". Trzy większe dzwony mają nazwy od osób Trójcy św. Ks. Dietrich głaskał swoje dzwony, jak gdyby pieścił się z dzieckiem, a gdy zeszliśmy na dół, na plac budowlany, był jeszcze tyle uprzejmy, iż dał nam możność przekonać się o pięknym ich głosie. Z jego polecenia uderzono w każdy z nich kolejno po 20 razy, a potem zabrzmiała ze szczytu wieży przecudna muzyka: przez dwie minuty bito we wszystkie dzwony razem. Wrażenie było piękne i potężne żywiołową falą wybuchały pod dachem wyniosłej wieży akordowe tony, melodyjne a mocarne, niewidzialnemi dla oka rytmicznemi kręgami rozlewając się w przestrzeni bezkresnej... Miało się wrażenie, że jakieś niewidzialne ptaki - olbrzymy z nienapisanej apokalipsy, pełnej tajemnic, unoszą na swych skrzydłach gdzieś w podniebne przestworza uczucie i myśl przygodnego słuchacza, oderwane od przyziemnych spraw, dokoła których obraca się troska i praca mieszkańców bawełnianego grodu... Miałem uczucie, że jestem marnym, maleńkim punkcikiem, pełzającym po ziemi, wobec ogromu tych rozłogów, w które leciały głosy dzwonów modlitwy, pokuty, Marcina Lutra i Trójcy świętej...

Niechże już conajrychlej zagrają wiernym te dzwony, zwołując ich wreszcie na poświęcenie kościoła! Życzymy tego całem sercem ks. Dietrichowi. A co potem? Potem niech pełnią swą służbę przy Zborze, do której są przeznaczone, metalowym głosem przynosząc ludziom na pamięć obowiązki ewangelika w kraju katolickim, który nie zna błogosławieństwa Ewangelji czystej bez naleciałości ludzkich.

A. R.

Prosimy o uregulowanie prenumeraty na P. K. O. Nr. 1508.

Ks. FELIKS GLOEH.

Z podróży na Bałkany.

XIV.

Ostatni dzień pobytu w Konstantynopolu. Jest jeszcze bardzo wiele do zwiedzenia i do zobaczenia, wiele ciekawego i pouczającego, lecz wszyscy są już zmęczeni i poniekąd zniechęceni. Szukają przeto wrażeń lekkich i chcą je zdobywać bez trudnych wysiłków, jaknajłatwiej. Przeto z samego rana podzieliwszy się na dwie grupy, jadą jedni na Bosfor, drudzy na wyspy Książęce. Ja jednak odłączam się od wszystkich i kieruję się z jednym z dyrektorów do Bazaru, aby go gruntownie zwiedzić i poczynić dla siebie pewne zakupy. Następnie idziemy do Muzeum. Po rewolucji tureckiej i abdykacji sułtana, nowy rząd republikański w pałacu sułtańskim urządził Muzeum narodowe. Większość sal pałacowych pozostały po dawnemu, tylko niektóre wzbogacone zostały nowemi zbiorami zabytków. Zdołaliśmy zwiedzić tylko Muzeum Wojskowe i tak zwany „Skarbiec".

Muzeum Wojskowe — wprost imponujące. Olbrzymich rozmiarów gmach, w rodzaju warszawskiego Teatru Wielkiego, jeno dwa, a może trzy razy większy, z galerjami, cały zastawiony sprzętem wojennym, począwszy od nastarszych, aż do najnowszych systemów. U kopuły dokoła powiewają setki sztandarów, zdobytych przez wojska tureckie w różnych czasach i wojnach. Na galerjach woskowe figury różnych typów tureckich wielkości naturalnej, w strojach narodowych, poustawiane w specjalnie urządzonych izbach, przy jedzeniu, zabawie i t. p. Wchodząc, ma się wrażenie, że się jest między Turkami i się styka z ich starą kulturą i obyczajami. Można tu poznać życie Turka, pcząwszy od najdawniejszych czasów, aż do doby obecnej. Naturalnie, że znajdują się tu także i pamiątki ostatniej wielkiej wojny światowej i jest ich może najwięcej, a więc tanki, aeroplany, wielkiego kalibru armaty, trofea wojenne i t. d. Wszystko oczywiście ponumerowane i skatalogowane. Porządek wzorowy.

Stąd przechodzimy do byłego pałacu sułtańskiego, który obecnie tworzy t. zw. „Skarbiec". Spostrzegamy, że przed nami podąża za swym przewodnikiem grupa zwiedzających. Są to Niemcy, którzy na specjalnym okręcie jakiegoś przedsiębiorstwa wycieczek po całym świecie przybyli także i do Konstantynopolu. Przyłączamy się do nich i słuchamy dość ciekawych objaśnień przewodnika. Sam przewodnik, według jego własnych słów, — żołnierz z byłej gwardji sułtańskiej, człowiek starszy, który w pałacu służył za dawnych czasów, więc wszystko dobrze zna, choć, gdy się uważnie słuchało, to można było zauważyć, że posługuje się i blagą. Wreszcie jest to typowe u każdego płatnego przewodnika, który musi wszystko wiedzieć i na wszystkiem się znać, i na każde pytanie bez zająknięcia odpowiedzieć, aby nie poderwać swej powagi i swego autorytetu w oczach słuchaczy. Również zauważyłem, że i nasz przewodnik naprzykład wskazywał na talerze porcelanowe na ścianie rzekomo z XIV-go wieku, gdy tymczasem skromny, mały napis pod niemi świadczył, że pochodzą z wieku XVIII-go. No, ale zwiedzający obcokrajowcy, choć, sądząc powierzchownie, ludzie bardzo bogaci, przyjmowali słowa przewodnika bezapelacyjnie do wiadomości, i nikomu nawet do głowy nie przyszło sprawdzić ich wiarogodność podług zamieszczonych napisów.

W ten sposób wraz z przewodnikiem obejrzeliśmy zbiór porcelany, jedyny może w swoim rodzaju na świecie, dalej — wspaniałe trony sułtańskie, wysadzane perłami, brylantami i innemi drogocennemi kamieniami w perłowej masie lub w hebanie. Widzieliśmy stroje wszystkich sułtanów Turcji, począwszy od Mahometa II, zdobywcy Konstantynopola, oraz ich turbany wysadzane drogiemi kamieniami, wielkości jaja kurzego, monety tureckie i zegary, wazy, ordery i inne kosztowności, przeszliśmy przez pokoje pałacowe i oglądaliśmy z ich okien piękne widoki na morze. Stąd podążyliśmy przez podwórze, do bocznych pawilonów, gdzie były sułtańskie

bibljoteki, gościnne pokoje, pokoje dla dzieci, żon i harem. Wszędzie gdzie spojrzeć — każdy stopień marmurowy, każdy pokoik rodziny sułtańskiej przypominał krwawe dzieje tego dworu. Oto niewielki przedsionek naprzeciw schodów; w ścianie marmurowej kran, pod którym przed pogrzebaniem myto zwykle ciała pomordowanych książąt rodu sułtańskiego, a nawet synów podejrzanych o zdradę, których ostatecznie zrzucano po tych schodach z ich górnych apartamentów, wprost pod ten kran. Z boku — wejście do małego pokoiku, gdzie stale mieszkał starszy eunuch. Idziemy dalej przez wąski kurytarz — do wielkiej sali: pusta, po bokach tapczany, nakryte dywanami, w rogu jedyny — fotel na wysokich nogach, a za nim kilka długich lasek. Jest to sala nauki synów sułtana. Fotel przeznaczony dla nauczyciela, zaś laski za nim — to kije, którymi obijał niezdolnych, lub niesfornych swych uczniów. Każdy młody książe dostawał swoim własnym kijem, przeto stało tyle kiji, ile było uczniów. Nie wolno było bić ucznia nie jego kijem. Mijamy szybko zabudowania haremowe. O tych sprawach tajemnych i przewodnik milczy. Na froncie zachował się napis, że do budynku tego nikt z obcych niema wstępu. Okna okratowane gęsto, jak sitem. Widać tylko długi kurytarz, a po bokach wejścia do pokoików niewielkich, wyłożonych dywanami. Przewodnik nam wskazuje, gdzie mieszkała matka sułtana. Jak wiadomo po rewolucji i po ustąpieniu sułtana, cały harem został puszczony na wolność. Przed haremem rozpościera się pięknie przybrany w zieleń i kwiaty taras, z boku niewielki sztuczny rezerwoar wody, miejsce kąpieli niewolnic haremowych, niedaleko zaś od niego—mała kunsztowna altanka, skąd się przyglądał sułtan kąpiącym. Opodal oryginalny budynek w stylu czysto wschodnim — bibljoteka.

Przechodzimy się jeszcze po parku, spoglądamy na morze i na panoramę Konstantynopola, i zwiedzanie „Skarbca" — skończone.

Pod silnem wrażeniem wracamy do swoich do „Domu Polskiego". Zapomnieliśmy przy tem zwiedzaniu o obiedzie, więc po drodze namyślamy się, gdzie wstąpić, by się posilić. Tymczasem spotykamy jedną z grup, która wróciła z Bosforu i udaje się na wyspy Książęce. Więc nie mając czasu, zarzucamy myśl o obiedzie i przyłączamy się do niej. Po drodze tylko kupujemy sobie parę bułek z wędliną, za które płacimy trzykrotnie więcej od tego, coby kosztowało u nas.

Siedzimy już na statku. Pogoda miła, godzina trzecia popołudniu. Statek odbija od przystani i powoli unosi nas w dal, w stronę Wysp Książęcych. Wyspy te wzięły nazwę z bardzo dawnych czasów, kiedy w Konstatynopolu panowali cesarze bizantyjscy, którzy nieposłuszne lub niepotrzebne księżniczki osadzali pod przymusem w klasztorach na tych małych wysepkach. Stąd ich nazwa. Jest ich pięć. Wszystkie przeważnie skaliste, ale niektóre, szczególniej większe, mają w niektórych swych częściach ładną roślinność, a ponieważ otoczone wodą, mają klimat umiarkowany, przeto są dzisiaj miejscem letniego mieszkania dla zamożnych Turków. Jedna z nich, zdaje się najmniejsza, zupełnie skalista nie jest zamieszkana. Tureckie władze przewiozły na nią wszystkie bezdomne psy, błąkające się po Konstantynopolu, dlatego nazywają ją „Psią Wyspą". Jedne z tych psów — pozdychały, inne się zagryzły, a reszta żyje jeszcze dzisiaj, w stanie półdzikim i żywi się rybami i resztkami jadła, jakie fale morskie na brzeg wyrzucają. Inne wyspy — mają wygląd bardzo kulturalny: piękne wille z ogrodami, przystanią, a na ostatniej największej — duża szkoła morska. Dotarłszy do tej ostatniej — statek nasz po kilkunastominutowym postoju — wraca do Konstantynopola. Już się ściemniło, gdyśmy opuścili pokład i wracali na kolację do Domu Polskiego. Ostatni to był wieczór. Na drugi dzień z samego rana wyruszaliśmy w powrotną drogę do Kraju. Wycieczka formalnie się już skończyła. Z Konstantynopola — jazda bez przerwy do Warszawy. Wszyscy się naprzód pakują do drogi. Niewiele osób pozostało na noclegu w „Domu Polskim", odległym o parę kilometrów od dworca kolejowego. Inni, ostrożniejsi odrazu tego samego wieczora wraz z rzeczami przyjechali do wagonu. To też tego wieczora, gdzie spędzałem każdy wieczór i każdą noc, tym razem było weselej i gwarniej. Już było około jedenastej wieczór, gdy niektórzy pokończyli czynić swoje zakupy. Gdyśmy się zbudzili na drugi dzień rano, nasze wagony już podstawiali na linję odchodzącego w stronę greckiej granicy pociągu. Przeliczyliśmy się — nikogo nie brakowało. Był to piątek, dnia 22 kwietnia. Nawet nikt nie mógł wyjść po nowe zakupy, gdyż to był dzień świąteczny tygodniowy mahometan i wszystkie sklepy były pozamykane. Słyszałem, że ostatnio rząd turecki wydał podobno nakaz świętowania niedzieli zamiast piątku. Jeżeliby nawet tak było, to lud prosty nie prędko się do tego przyzwyczai.

Z Towarzystwa Polskiej Młodzieży Ewangelickiej.

CHÓR „HEJNAŁ". Zarząd Koła Śpiewaczego „Hejnał" przy Tow. Pol. Młodzieży Ewangelickiej zawiadamia, iż z dniem 16 września r. b. rozpoczynają chóry: mieszany i męski normalną pracę. Próby odbywać się będą w sali konfirmacyjnej.

Chór mieszany pod dyrekcją prof. L. Heintzego odbędzie pierwszą próbę w piątek, dn. 16 września o godzinie 19 i pół

Chór męski pod dyrekcją p. W. Rechtsiegla pierwszą próbę odbędzie w środę, dn. 21 września o godz. 20.

Osoby pragnące poświęcić 2 wieczory w tygodniu dla kościoła i społeczeństwa ewangelickiego przez śpiewanie w jednym z wymienionych chórów zechcą zgłosić się we wskazanym terminie i miejscu.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Dnia 4 września, **w XII niedzielę po Trójcy św.**

o godz. 9 m. 15 rano nab. szkolne w sali konf. — **ks. pastor Gloch.**

o godz. 9 i pół rano, nabożeństwo w języku niemieckim **ks. pastor Loth.**

o godz. 11 i pół rano, nabożeństwo w języku polskim **ks. pastor Michelis.**

Dnia 9 września, o godz. 9 rano, nabożeństwo komunijne.

W KOŚCIELE GARNIZONOWYM.

Dnia 4 września, o godz. 10 rano, nabożeństwo w języku polskim — **ks. Paszko.**

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE URZĘDU PARAFJALNEGO.

za czas od dn. 21 — 28 sierpnia r. b.

Ochrzczono: 1 dziewczynkę, 3 chłopców.

Ślub zawarli: Kurt Otto Karl Hans Hann z Lucją Magdaleną Niklas; Karol Feliks Herse z Marją Tworkowską; Władysław Żebrowski z Heleną Malczewską.

Zmarli: Kazimiera Wanda Dallmann, córka murarza, 1 rok 10 m.; Adela Nerenberg ur. Hiller, żona rolnika, l. 31; Alfred Jerzy Koleśnik, syn robotn., 8 mies.; Edward Dykoff, rzeźnik, l. 38; Amalja Emilja Weidknecht, córka rolnika, 1 rok.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego wynosi: kwartalnie 3 złote; miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji—Kancelarja Zboru codziennie od 9 — 2 i 3 — 5, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor A. LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11—12 rano telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa, 4 m. 3, tel. 310-15.

Redaktor: Ks. A. LOTH Wydawca: Ewang. Sp. Wyd. „Logos"

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.